



Mieczysław Skąpski

Radzieckie 50 lat

Ludzie obcy z zachodnią propagandą, z prasą wszelakich odcieni i rozgłosami różnych maści, ani się spodziewali jak w odniesieniu do Związku Radzieckiego pojawiło się określenie supermocarstwa. Zwykle pojawia się ono przy okazji omawiania stosunków radziecko-amerykańskich. Mowa wtedy o dwóch supermocarstwach, których stosunki wzajemne determinują dziś wiele niezwykle ważkich spraw światowych, a nawet mogą zadecydować o „być lub nie być” ludzkiej cywilizacji.

A przecież jakże niedawno używano określeń zgoła innych. Z czasów mojego dzieciństwa dobrze pamiętam opowieści o „kolosie na glinianych nogach”. Było to już przed wojną (określenie jest starsze, ale ja je pamiętam z tego czasu), powtarzano to jeszcze tu i tam w 1941 r.

Dzisiaj mówi się o Związku Radzieckim jako o supermocarstwie, ale oczywiście ciągle zachodnia propaganda stara się wmówić ludziom, że socjalistyczny system gospodarowania jest mało wydajny, ociężały, no w ogóle mało sprawny. W przeciwieństwie naturalnie do amerykańskiego. Teraz z okazji 50 rocznicy Rewolucji Październikowej, przypomniać się wiele rzeczy, jakich dokonały narody ZSRR w ciągu tego okresu. Nie od rzeczy będzie rzucić parę porównawczych liczb, które pozwolą lepiej uzmysłowić, co to oznacza, że Związek Radziecki jest dziś tym, czym jest.

Bo przecież carska Rosja była krajem nędzy i zacołania, gdy pod koniec I wojny światowej zerwał się w Piotrogradzie huragan rewolucji. Rosja carska rozpywała się ostatecznie, ale jej upadek odbywał się przy kompletnym zamknięciu wewnętrznym, na dobitkę w okresie trwania wojny z monarchiami Niemiec i Austro-Węgier. Rosja była wtedy krajem 30 milionów mieszkańców miast i 130 milionów chłopów, z których większość chodziła w łapciach własnej roboty, a jeśli posiadała buty, to były to nierzadko buty jedne na całe życie, a bywało że i przechodziły z ojca na syna.

Wtedy Stany Zjednoczone Ameryki Północnej były już bogatym krajem o potężnej gospodarce, o dumnych drapaczach chmur, wznoszących się na Manhattanie. Pierwsza wojna światowa, która zrujnowała gospodarkę rosyjską, stała się potężnym bodźcem rozwojowym dla gospodarki amerykańskiej, zaopatrującej europejskich sprzymierzeńców we wszystko, co było dla celów wojennych niezbędne.

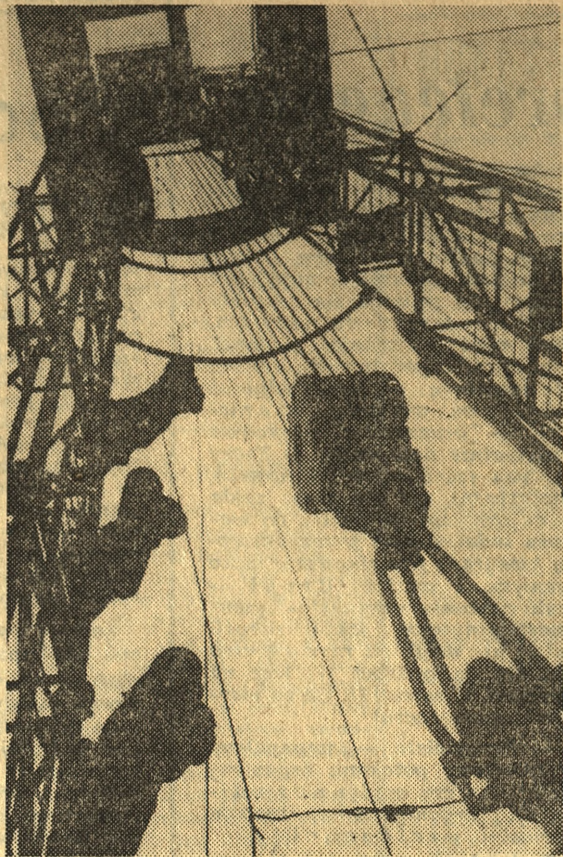
Po wojnie zaś na Rosję ruszyły kolejne lawiny interwencji. Anglia i Francja w szczególności nie szczędziły środków, by stłumić rewolucję w zarodku. Bały się panicznie, by płomień rewolucji rosyjskiej nie przekształcił się w pożar światowy. Aliści słaba, nieuzbrojona rewolucja odparła wszystkie kolejne najazdy Kołczaka, Denikina, Wrangla, a wreszcie i Piłsudskiego. Głódno, boszo, ze starym karabinem w garści, bronili bolszewicy rewolucji.

Poświęcenie, ofiarność były w one dni wprost bezprzykładne. Zresztą nie tylko wtedy. Przecież potem otoczono Rosję radziecką „kordonem sanitarnym”, odmówiono jej uznania dyplomatycznego, odmówiono współpracy gospodarczej. Kraj zniszczony, bez fachowców, bez kapitałów zaczął niezwykle dzieło budowania nowoczesnej ekonomiki.

Minęło 50 lat. W ciągu tego okresu było w rzeczywistości tylko 30 lat budowania, bowiem — jak zauważył ambasador ZSRR w Polsce, Awierkij Aristow podczas spotkania

W ZSRR w środkowym rejonie zagłębia do-nieckiego zainstalowa-no nowe urządzenie wiertnicze „BU-50 PB-1”, przy którego pomocy — po raz pierw-szy na Ukrainie — geo-łodyz prowadzić będą wiercenia na głęboko-ści 3000 metrów.

CAF — TASS



w Poznaniu 20 lat z tej 50-tki zajęły wojny niosące śmierć i zniszczenie oraz przywracanie kraju do stanu sprzed okresu walk zbrojnych. Wojna ostatnia zabrała Związkowi Radzieckiemu 20 milionów ludzi zabitych oraz 30 procent bogactwa narodowego.

Stany Zjednoczone, tak pyszniące się bogactwem, postępową technologią — rozwijały się w tym czasie bez zakłóceń z zewnątrz. Jeśli wielki kryzys z roku 1929 zahamował chwilowo ich rozwój, to przecież kryzys ten był spowodowany przyczynami wewnętrznymi i dolegliwościami ustrojowymi. Ale w minionych 50 latach na USA nie spadły żaden pocisk, żadna bomba. Wojny były dla Ameryki głównie kolejnym byznosem, wielką okazją zarobienia miliardów.

Jeśli więc potencjał gospodarczy USA wzrósł w ciągu 50 lat 7,5 raza, a potencjał ZSRR 86 razy, to porównanie to staje się dopiero w pełni wymowne, gdy ma się w pamięci tło historyczne. W tym czasie Francja zwiększyła swoją moc ekonomiczną 3,4 raza, Anglia 2,5. Polska natomiast — tylko w okresie powojennym — zwiększyła swój potencjał gospodarczy przeszło 10 razy. Tak wygląda w rzeczywistości funkcjonowanie socjalizmu. I wedle tego oceniają nas badacze i komentatorzy na Zachodzie, choć na użytek szeroki mas rzuca się slogany o małej sprawności socjalizmu.

Ilość wytapianej stali jest jednym z istotnych mierników potęgi gospodarczej. Już w 1928 r. USA wytapiały 52,4 miliona ton stali. ZSRR wytapiał wtedy tylko 4,3 mln. ton. W 1950 r. stosunek ten układał się jak 102 mln. do 23,4 mln. W roku 1966 w USA wytopiono 125 mln. ton stali, a w ZSRR prawie 97 mln. ton.

570 tysięcy lekarzy pracuje dzisiaj w ZSRR, jest to jedna czwarta lekarzy całego świata. W poprzednim roku wyższe uczelnie techniczne ZSRR opuściło 177

tys. inżynierów, gdy w USA dyplomy inżynierów otrzymało 41 tysięcy osób. Przeciwny wiek ludności, który wynosił w ZSRR przed pięćdziesięciu laty 32 lata, teraz podniósł się do 73 lat. Zmieniły się radykalnie warunki życia obywateli ZSRR. Szczególnie wpłynęły na te warunki nowe mieszkania: aż miliard 400 milionów m kw. nowej powierzchni mieszkalnej otrzymali ludzie radzieccy. Kilkanaście razy więcej — niż kiedyś — otrzymują produktów żywnościowych.

Nikt nie przeczy, że na Zachodzie, zwłaszcza w USA, ludzie mają więcej samochodów, że eleganciej się ubierają. Ale tu znowu trzeba wrócić do historii. Jaką tamci mieli drogę do dzisiejszego bogactwa i ile w ciągu ostatnich dziesięcioleci dokonali. Trzeba też widzieć i inną stronę medalu. Ile strachu jest w codziennym życiu człowieka w USA, ile elementów zagrożenia: przed utratą pracy, przed chorobą, przed starością. Bo mimo dobrobytu dziś jakże łatwo tam w krótkim czasie popaść w biedę. Tej nędzy nie boją się dzisiaj ludzie w ZSRR. Mają zagwarantowaną pracę, zabezpieczenie na wypadek choroby, bądź innych przypadłości losowych, zabezpieczenie na starość. Lęk o dzień jutrzejszy to sprawa już dawno w ZSRR zapomniana. A tego nie potrafił zlikwidować kraj „wielkiej społeczności”, „społeczeństwa dobrobytu” czyli USA.

Trzeba by tu może wspomnieć jeszcze o broni atomowej i wodoro-wej, o pierwszych satelitach i rakietach międzykontynentalnych, które brzemieniem kładą się na budżecie każdego obywatela radzieckiego. Lecz dzięki temu może on spać spokojnie. Ale też z tego powodu obywatel ten przeważnie nie ma jeszcze własnego samochodu i innych udogodnień cywilizacji. Na wszystko jednak przyjdzie kolej. I przychodzi — jak to widzimy — coraz szybciej.

Jerzy Ros

OBOWIAZEK CZUJNOŚCI

U stóp pomnika Ofiar Oświęcimia

Ile to już lat upłynęło? Dwa dziesięcia dwa, trzy...? A ten koszmar wraca z niesłabnącą siłą. Oświęcim! Nazwa miejscowości, która stała się symbolem epoki i która jest symbolem walki. Ongiś dno życia i dno śmierci.

A pamiętam jak gdyby to było wczoraj. Przyjazd do tego obozu. Ewakuacyjny transport skierowano do Oświęcimia z innego obozu, przy Zakładach Zbrojeniowych „Herman Goering Werke” w Starachowicach. Drogę odbywałem już jako więzień.

Do byłego wagonu (6 koni albo dwudziestu iuś tam ludzi) załadowano nas, stu więźniów. Drzwi były zaplombowane, małe okienka okratowane kolczastym drutem. Jechaliśmy dwa dni, ustępując pierwszeństwa niemieckim transportom wojskowym. Dni były gorące i parne, słońce prażyło w dach wagonu i wkrótce w tej ciasnej stłoczonej skrzyni zrobiło się duszno jak w zatopionej łodzi podwodnej. Rozebrał się do naga, ale to nie pomogło wiele.

Pierwszego dnia, z braku powietrza w naszym wagonie, uduśiło się ponad dwadzieścia osób. Dla pozostałych było już więc nieco więcej tlenu, no i noc przyniosła ochłodę.

Tej nocy oddzielił nas trup od żywych. Umarłych układaliśmy w jednym kącie wagonu tak jak w składkach drzewa układa się deski. Dwa ciała wzdłuż — dwa w poprzek. Stos sięgał nieomal sufitu. Całość okryliśmy kocami, spod których sterczały kończyny i głowy umarłych. Wagon trząsł się na rozjazdach i te martwe ręce poruszały się jak żywe. W świetle mijających stacyjek wyglądało to upiornie.

Tak żywi z umarłymi pospół przy byliśmy na miejsce przeznaczenia — na rampę w Brzezince. Przez otwarte drzwi wionęło ku nam świeże powietrze. Na tym niezwykłym peronie urzędował już doktor Mengele — elegancki i nonszalancki niedbale decydował kto w lewo, a kto w prawo — kto do obozowego miasta baraków, a kto do pobliskich komór gazowych. Cztery kominy krematorium zasnawały obóz ciężkim dymem — produktem palonych ciał ludzkich. Przez sekundę decydował się mój los. Byłem młody i silnie zbudowany. Dr Mengele lekkim ruchem szpicrutu skierował mnie ku tym, którzy — jak się okazało — przeznaczeni byli do życia.

Do życia? Nie! Do Oświęcimia. Ile to już lat minęło?

Zyjemy obaj: mój oprawca i ja. Ja w Polsce, parając się piórem — on w Ameryce Południowej jako współwłaściciel wielkiej firmy produkującej maszyny rolnicze. Podobno od czasu do czasu przyjeżdża nawet do Europy. Policje znają jego adresy, znają ponoć każdy jego krok, ale nikt go nie rusza. Tego wymaga

wyższa racja: Mengele ponoć zna miejsce, w którym ukryty jest skarb hitlerowski i hasła otwierające tajne konta III Rzeszy w szwajcarskich bankach. To wyjaśniałoby jego dotychczasową bezkarność!

Czy tylko on jeden żyje? Iu jeszcze chodzi po świecie bezkarnie?

Prasa donosi, że w Niemczech Zachodnich partia neo-faszystowska odniosła sukcesy wyborcze, m. in. w Bawarii. Znam ten piękny kraj: siedziałem tam w obozie, w Dachau, niedaleko Monachium. Prasa donosi, że NRF sprzeciwia się międzynarodowemu porozumieniu w sprawie nierozprzestrzeniania broni atomowej. Nie chcą być gorsi od innych, nie dadzą się dyskryminować. Pod tym hasłem hitlerowcy zaczęli II wojnę światową. Czołowi politycy zachodni Niemiec domagają się równouprawnienia. Skąd ja to znam? Ile to już lat upłynęło? Ja to już kiedyś słyszałem. Czyżby nie przez radio z Reichstagu, czyżby nie z ust Hitlera? Prasa donosi, że rząd NRF zobowiązał się, że nie będzie stosował przemocy w rozwiązywaniu problemów politycznych. Skąd ja to znam?

Można by sądzić: nie, nie było Oświęcimia. Nie było II wojny światowej ani ludobójstwa. Czego świat chce od Franza Stangla po przeszło dwudziestu latach? Dlaczego ekstradycji domagają się Polska, Holandia, Austria, a nawet NRF? Był podobno komendantem jakiegoś obozu w Treblince i w Sobiborze. Wymordowano tam podobno kilkadziesiąt tysięcy Żydów. Gdzie to było? W Polsce?

Tyle to już lat. Czy nie czas — by zapomnieć te stare dzieje i dać wreszcie ludziom spokój? Ten Oświęcim to przecież komunistyczna propaganda obliczona na rozbięcie Europy Zachodniej, której przedmurzem są Niemcy Zachodnie. Wiadomo: była kiedyś wojna i ileś tam osób zginęło. Zresztą Niemcom też się krzywdą działa. W NRF na ten temat prowadzone są dokładne studia — powiedzą wam dokładnie ilu Niemców zginęło w polskich obozach, a ilu w czasie ewakuacji z ziem zachodnich.

Tyle lat upłynęło i kto z młodych z NRF pamięta, jak tam było naprawdę? myśmy zabijali czy nas zabijano, myśmy gazowali czy nas gazowano? Za następne dwadzieścia lat okaże się może, że Oświęcim był obozem założonym przez Polaków. Najlepszy dowód, że znajduje się na terytorium polskim. Podobnie jak Majdanek, Stutthof i parę innych.

A że w chwili wyzwolenia Oświęcimia znaleziono tam 7 tysięcy kilogramów włosów kobiecych zapakowanych starannie w worki — to jeszcze nie dowód, że w tym obozie zginęło około 4 milionów ludzi z całej nieomal okupowanej Europy! I

Dokończenie na str. 2

Olgię Błazewicz

Wielkie problemy „małego” teatru

Historię mają krótką. Narodzili się właściwie dopiero w Polsce Ludowej, od początku otrzymały liczne zadania: artystyczne, wychowawcze, popularyzatorskie. Dzisiaj borykają się z ogromnymi trudnościami są na marginesie naszego życia teatralnego. Nie mają kwalifikowanych kadr aktorów, własnych dramaturgów, krytyków. Za granicą polskich teatrów lalkowych, bo o nich tu mowa, pisze się i mówi z najwyższym uznaniem. Zdobywają tam nagrody, medale, dyplomy. Podobnie ciepło pisze się w Poznaniu o „Marcinku”. Ale teatrów lalkowych mamy 24. Jakże są ich główne problemy, zadania, bolączki?

W wyniku ubiegłorocznych „Konfrontacji” teatrów lalkowych narodziła się idea zorganizowania w Poznaniu roboczej konferencji dramaturgów i krytyków nad aktualnymi problemami teatrów lalek. Przedstawiciel „Głosu” przysłuchiwał się dyskusji w piwniczce „Marcinka” z wielkim zaciekawieniem, zdziwieniem, ale i poczuciem niejasności sytuacji. Z jednej strony zagraniczne laury polskich teatrów lalkowych, z drugiej smutna prawda o stanie faktycznym teatrów, braku wartościowych tekstów do grania, braku kwalifikowanych aktorów, nie sprecyzowanych zadaniach ideowych i wychowawczych teatrów. Jaki więc jest ten teatr lalek w

Polsce, dobry czy zły, czy może młodzieńczy jeszcze, nijaki?

Sytuacja polskich teatrów lalkowych przypomina zwierzenia malarza abstrakcjonisty, który mówi, że pragnie przede wszystkim wyrazić idee, treści, dramaty międzyludzkie, ale chce nadal malować abstrakcje. Nie dostrzega, że właśnie przez to, nigdy tych celów osiągnąć nie może. Teatry lalkowe zarzucały starą dydaktyczną baśń i bajkę wcześniej nim sprecyzowały sobie dokładnie cele, zadania i możliwości repertuarowe. Postawili na trudne, ambitne próby mówienia ważkich rzeczy najmłodszemu widzowi. Wsparły je dobrą, nowoczesną plastyką sceniczną i muzyką. Dzieciom spektakle te bardzo się podobały. I tak rósł mit teatru dobrego i funkcjonalnego. Obecnie psycholodzy i nie tylko psycholodzy, dochodzą do wniosku, że dzieci treści większości tych spektakli nie odbierały. że akceptowały w nich tylko plastykę, muzykę, same lalki. Okazało się więc, że teatr lalkowy w Polsce stoi właściwie tylko scenografią i muzyką, a nie dramaturgią i aktorami. A więc, że jest w sytuacji kryzysowej, że ogranicza się do działań czysto estetycznych, niewyrażeniowych. Podobnie jak malarstwo abstrakcyjne, które chce mówić, ale przecież nie może.

Niebezpieczeństwo formalistycznego — estetycznego charakteru sztuki lalkowej jest jednak tylko pozorne. Jeśli teatr daje młodemu widzowi dobrą plastykę i muzykę, to jest to już bardzo wiele. Najmłodszy widz niczego innego nie wymaga. Ale nieco starszy? Największą słabością teatru lalek jest bowiem chyba to, że nie dociera on właściwie do tego najważniejszego odbiorcy, do dziecka w wieku szkolnym, że skazuje się dobrowolnie na teatr dla przedszkolaka. Starszy widz nie chce już tylko dekoracji i wielkiej inscenizacji. Dokładnie nie wiadomo nawet

czego on chce. Nie lubi lalki kojarzącej mu się z przedszkolem i maluchami, ani dydaktycznej baśni. Do teatru dramatycznego jest jeszcze zbyt młody, niedojrzały — do lalkowego za dorosły. Postulat rozwinięcia dobrego teatru młodzieżowego wiąże się jednak przede wszystkim z dramaturgią. A na konferencji padły także głosy, że taka w ogóle nie istnieje.

Na każdej większej imprezie lalkarskiej od lat trwa spór autorów tekstów z dyrektorami. Ci ostatni twierdzą, że brak tekstów, dramaturdy, że teatry ich właściwie nie potrzebują. Istotnie, na co zwracał uwagę podczas konferencji jeden z piszących, twórczość dramatyczną dla teatrów lalkowych jest najmniej wdzieczna. W tekst autorski ingeruje tu nie tylko reżyser, także scenograf, muzyk, zadania ferują psycholog i pedagog. Pisanie tekstów do przedstawień lalkowych nie jest też popłatne. Nikt nie ogłasza ich przecież drukiem, autor pisze zawsze na własne ryzyko. Zale dyrektorów są jednak także uzasadnione. Nawet tych tekstów złych, do odrzucenia, jest niewiele.

Czy teatr lalek wybrnie więc z impasu w którym się znalazł? Wbrew pozorom sądzę, że tak. Mimo wszystkich swych słabości jest to jednak teatr dobry. Teatr, który potrafi robić przedstawienia z niczego, bez tekstu, nawet i bez scenariusza. Ma znakomitą, może najlepszą w Europie scenografię, dobrą muzykę, ogromne ambicje. Ambicje, które sprawiły, że w ogóle znalazł się w kręgu przemian i dyskusji. Bo mógł on przecież nadal grać bajki i baśnie jak to robią za granicą na wschodzie i na zachodzie. Mógł, ale dzisiaj już nie może. Ma ambicje stworzenia polskiego artystycznego teatru lalek. I szuka nowych form i własnych dramaturgów. I czasami — jak tego dowodzą spektakle poznańskiego „Marcinka”, teatru lalek Dorman, krakowskiej „Groteski” czy „Guliwera” — znajduje.

Przyjaciel przyszedł wieczorem, przekłnął tyk postawionej przed nim kawy i powiedział:

— Wy, dziennikarze, do zdumienia piszecie o przeróżnych odprawach, konferencjach, naradach. Relacjonujecie ich przebieg, czasem — krytykujecie. Na to miast nie znalazłem nigdy na łamach prasy wizerunku takiego czy innego zgromadzenia, oglądanego niejako spod innej klepki. Jestem prelegentem, bywam zapraszany przez rozmaite instytucje na najrozmaitsze imprezy. Zwykle więc zasiadam za stołem prezydenckim. Mam mnóstwo sposobów strzeżenia, może kiedyś napiszę wspomnienia, chcesz ustyszczyć próbę?

— Proszę — powiedziałem bez entuzjazmu.

— Zaczęło od bazy — oznajmił pryncypialnie Przyjaciel. — A więc sale zastaje niejednokrotnie zajęte. Dziwne? Po prostu harmonogram nie został przez poprzednią ekipę szkoloną się, czy naradzającą, dotrzymany. Trzeba czekać, aż raczą się wynieść. Niejako konsekwencją tego są sale nieposprzątane, o tzw. zagęszczonej atmosferze. W zimie ma się do czynienia ponadto z dwoma rodzajami sal: nieogrzewanymi lub przegrzаныmi, te najczęściej z nie dającymi się otwierać oknami. Osobną kwestią jest oświetlenie. To u nas reguła: w kawiarniach, gdzie potrzeba intymnej atmosfery i przyćmionego światła, panuje jasność, natomiast w świetlicach i klubach, gdzie prelegent chciałby czasem zerknąć do jakiejś tabeli, czy odczytać w oryginale czyjąś kapitalną wypowiedź — panuje błogi półmrok. Mamy też sale, za których oknami (ścianami) trwa symfonia na pięć taktów i sapanie lokomotywy lub odbywa się nitowanie metalowych konstrukcji.

— Przepraszam — wtrąciłem niesmiało — a czy bywają sale normalne?

— Bywają, owszem. Ale nie przeważają. Z kolei coś nie coś o public. Wielokroć człowiek spotyka się z takimi uczestnikami, co to robia wszystko, by dać ci do zrozumienia, że tak całkiem z dobrej woli słuchać nie przyszedli; że gdyby nie Ktoś, czy jakas vis maior... Spotyka się też taka publiczność, co to jest ponad wszystkim: rozgadana, nieuwaga, lekceważąca mówiące-

Piotr Życki

Wyznania prelegenta

go, dla której ważniejsze zdaje się być to, co powiedziała Pitwańska za zaproszenia od tego, co oświadczyli Breżniew lub Johnson. Trafia się też publika zdenerwowana. Zaproszony na godzinę 14.15 mówisz i do tych, którzy skończyli robotę i radzi by do domu, i do tych, którzy chcieliby co prędzej stanąć przy maszynie na drugiej zmianie, bo norma norma. Ma się też do czynienia ze śpiącymi rycerzami, zapadającymi najpierw w głęboką drzemkę — nieraz połączoną z efektami akustycznymi. Są bessenvisserzy, dokładający wysiłków, by udowodnić, że prelegent udziela odpowiedzi nie-

Przepraszam, czy można?

dość kompetentnych, a oni naturalnie wiedzą więcej od niego. No i nie można pominąć pretekstów. To ci, którzy uchwyciwszy się błędnego choćby pretekstu, czynią zeń odskocznik do opowiedzenia dłuższego fragmentu życiorysu lub epizodów swej działalności.

— Zmiłuj się, kochany — nieo mał jęknąłem a normalnie zachowujące się publiczności już nie ma?

— Kto to powiedział? — stwierdził Przyjaciel. — Oczywiście, zdarza się. Posłuchaj jeszcze o organizatorach, to osobny rozdział. Są tacy, którzy zwykli telefonować, jak po straży pożarnej. Otrzymujesz rano propozycję, by przybyć wieczorem, a temat szeroki jak morze. Miałem do czynienia z „impresario”, który wskazał mi adres filii nr 1 instytucji, podczas gdy wszyscy czekali na mnie w filii nr 2 całkiem gdzie indziej i powitali moje spóźnienie odpowiednimi komentarzami. Albo masz organizatora, który — gdy przybyłeś o 17 — wyraża zdumienie i wmałwia ci, że przecież ustalono termin o godzinę późniejszy. Rozczulają mnie jednak inni: jed-

ni życzą sobie, abyś mówił przez „zakontraktowane” trzy kwadransy ale i odpowiedział na pytania, co razem sięgnie nieraz i trzech godzin; są i tacy, którzy na miejscu „podregulują” prelegenta, by zmieścić się z problematyką w trzydziestu minutach, choć miał uprzednio „zadane” trzy czwarte godziny. No i niechże wspomnę o punktualności. Znam dwa warianty: pierwszy — organizator względnie punktualnie daje znak: — Zaczyna pan (zaczynając obywatelu, towarzyszu), oni się zaraz zjeżdżają — co oznacza, że gadasz do siedmiu ludzi, a inni przez następny kwadrans przeszkadzają wchodzeniem. I wariant drugi — czyli czekanie piętnasto-dwudziestominutowe, jakby dorodzi ludzie nie mogli od razu się umówić nie na godzinę 17, lecz na przykład 17 minut 15. Co za marnotrawstwo czasu!

— Przyjacielu — wysapałem, przytłoczony potokiem argumentacji. — A czy oprócz normalnych organizatorów bywają normalni prelegenci?

Spójrz na mnie przenikliwie i odpark:

— Oczywiście. Przecież mnie znasz.

Z KSIĄŻKA NA TY

Tyle bowiem, cztery tysiące tomów, wydało Wydawnictwo MON w mijającym niedługo 20-leciu swego istnienia, w łącznym nakładzie 80 milionów egzemplarzy. To są fakty, które się liczą i to grubo liczą. Dorobek MON-u znany jest powszechnie, zarówno w zakresie problematyki ściśle wojskowej, odbieranej wszakże szeroko i przez „cywilów”, jak np. tomy doskonałej „Biblioteki Wiedzy Wojskowej”, łącznie już 100 pozycji, jak stanowiąca ewenement w literaturze światowej seria encyklopedyczna stroju, oporządzenia i umundurowania „Żołnierza Polski”, jak wreszcie przygotowywana obecnie „Mała Encyklopedia Wojskowa”, subskrypcja której przeszła najcięższe oczekiwania. A obok wszelkie istnieje dział wydawnictw ogólnowojskowych i technicznych, szeroko rozbudowany, przyspieszający proces koniecznej politechnizacji społeczeństwa i wreszcie dział literatury pięknej i dokumentalnej, z którego to zwłaszcza działu od lat omawiam w tej rubryce poszczególne pozycje.

Czas wykazał, jak bardzo potrzebna, więcej, bo nieodzowną rolę pełni to żywe, ruchliwe wydawnictwo i jak jego funkcja wykracza znacznie poza ramy wąsko specjalistyczne. Z tym większą satysfakcją, odnotowując sukcesy dotychczasowe, składając gratulacje i najlepsze życzenia, oczekiwaliśmy na dalsze, frapujące pozycje. MON-owi zatem ad multos annos!

Przy okazji jubileuszu miło jest także zaznaczyć, iż ukazało się ostatnio nakładem tej oficyny sporo cen-

nich pozycji z rozmaitych dziedzin. Kilka z tych książek pragnę zaanonsować.

Marian Biskup znany jest z owocego tropienia dzieł zaginionych polsko-krzyżackich. Ostatnia jego praca, mianowicie duże studium „Trzynastoletnia wojna z Zakonem Krzyżackim 1454—1466”, staje się jakby ukoronowaniem tych twórczych wysiłków. Jest to studium niejako monograficzne zagadnienia będącego właściwie przełomowym w dziejach stosunków na północnym pograniczu. Wywołana przez powstanie działająca Związku Pruskiego wielka wojna antykrzyżacka, wsparta przez Kazimierza Jagielloń-

Eugeniusz Paukszt

Kilka z 4000

czyka, mimo iż nie doprowadziła do ostatecznych rozstrzygnięć, przyhłomowała a właściwie nawet przysilała prawie zupełnie już ekspansywność zakonną. Dzieje tych wieloletnich zmagani, pełne dramatycznych militarnych i politycznych momentów, ukazał Marian Biskup w sposób przejrzysty, panoramiczny, z literacką zgoła przy tym obrazowością, co nadaje odbiorowi książki szczególnych walorów.

Innej dziedziny zjawisk i innego zupełnie okresu tyczy z pasją i wiedzą napisana opowieść o dawnej i współczesnej Persji „Bogowie, magowie i nafta” Kazimierza Sidora, do niedawna ambasadora naszego w Iranie, Afganistanie, a potem w Egipcie, Somali, Jemenie i Libii. Obok elementów reportażowych pojawiają się partie dużej klasy ese-

jest absolutnie niemożliwy. Oczywiście w stosunku do muzyki najnowszej na pewno brak nam dystansu historycznego. Tedy wydaje się, że utwory awangardowe należy przyjmować często jako tylko ciekawe propozycje.

Program festiwalowy rozpoczął się „Polonezem” z opery „Płomienie” S.B. Poradowskiego, poznańskiego kompozytora, który potrafi połączyć solidność rzemiosła i tradycyjną formę z rzetelnością efektów, dalekich od taniej sensacyjności. A. Blocha (Warszawa) „Dialogi na skrzypce i orkiestrę” są rodzajem koncertu, także nie bez powodzenia pakującego z romantyczną przeszłością (podkreślił: mimo całej awangardowości tej muzyki). Owe chwilemi dość monotonne medytacje opanowała świetnie J. Kaliszewska, grająca z pamięci trudną partię solową. Nieobszerna „Varia bilite” P. Warzechy (Katowice) to mocne uderzenie i skok w jaskrawe eksperymentowanie. M. Makowski (Poznań) grał prawykonanie swego „Koncertu fortepianowego” czyli rodzaj salaty stylistycznej — od Delibesa do Gershmana. Nuży tutaj ciagle improvisando i brak zdecydowanej konstrukcji. Popisem klarowności brzmienia orkiestry symfonicznej filharmoników, kierowanych doświadczoną batutą W. Krzemieńskiego, stała się ciekawa kompozycja „De natura sonoris” K. Pendereckiego, jeszcze jeden przykład finezyjnej odkrywczości kolorystycznej znanego autora krakowskiego.

styki filozoficznej, obok suchych pozornie relacji pełne zaangażowania impresje osobiste.

Już kiedyś wspominałem, przy okazji pierwszego wydania, o wartości wspomnień Władysława Deca, uczestnika kampanii wojsk polskich na zachodzie. Obecnie otrzymujemy nowe, poszerzone wydanie tej opowieści: „Narvik i Falaise”, rysującą obraz dwóch bitew, w których żołnierze polski walczyli się męstwem. Stronę dokumentacyjną wzbogacają liczne fotografie i wykazy nazwisk.

Wzbogacił się także cykl monografii poszczególnych jednostek Wojska Polskiego. I tak pod wytrawnym piórem Józefa Margulesa otrzymujemy tom „Piechurzy kolobrzkiej piątki”. Znamienity był szlak tego pułku, od Oku przez przyczółek puławski do zmagającego się w Powstaniu Warszawskim, a potem kierunku Odra-Łaba, właściwie więc poprzez wszystkie najbardziej niewralgiczne tereny frontowe. Dobrym dlatęgo uzupełnieniem ogólnego szkicu są wspomnienia o poszczególnych zasłużonych żołnierzach pułku, jak też fragmenty związane z walkami powstańczymi na Żoliborzu, wspieranymi przez oddziały 5. pułku.

Stanisław Rzepki natomiast w pracy „Przez Łużyce i Sudety” zajął się dziejami 25 pułku piechoty, wspierając tekst nową dokumentacją archiwalną i fotograficzną. Tu szlak wiodł z Ziemi Rzeszowskiej na Śląsk, nad Nysę Łużycką i dalej nad Schwarzer Schöps aż po Sprewę, by zakończyć się działaniami w operacji praskiej. Jak zawsze w tej serii, książka opatrzona jest załącznikami podającymi obsadę personalną, wykazy poległych i zmarłych, wykazy rannych i odznaczonych.

OBOWIĄZEK CZUJNOŚCI

Dokończenie ze str. 1

jeśli komuś po nocach śnią się koszmary, to nie powód aby zatruwać spokój innym, którzy chcą zapomnieć o tej tak dawnej wojnie. Wojna to w ogóle rzecz niedobra. Niemiecka Republika Federalna wyrzekała się wojny, jest krajem całkowitej wolności. Nawet dla neofaszyzistów, którzy twierdzą, że wina Hitlera polegała na tym, iż przegrał wojnę, i dla tych co mówią, że następnym razem błędów już nie będzie. Technika idzie naprzód i to co wczoraj załatwiano metodami chałupniczymi i „Cyklonem B” — jutro załatwi się jednym naciśnięciem guzika.

Jutro? Nie, takiego „jutro” nigdy nie będzie, jeśli będziemy pamiętać „wczoraj”. My, Europa, świat. Pro-

szę nie liczyć na naszą słabą pamięć. Oświećmy pozostanie symbolem!

Odsłonięcie Międzynarodowego Pomnika w Oświęcimiu, które odbędzie się 16 kwietnia br. to tylko jeden zmiennik, ale nie jedyny dowód pamięci narodów.

Ongiś wybitny, antyfaszystowski dziennikarz czechosłowacki Juliusz Fucik w swoich „Listach spod szubienicy” wołał:

— Ludzie! Bądźcie czujni!

Dzisiaj my — wszyscy, którzy przeżyliśmy epokę kaźni Oświęcimów powiadamy:

— Lata mijają ale nasza walka trwa. Jesteśmy czujni!

Przeglądamy Prasę

Dzisiaj o czterech tematach dotyczących trzech sfer zagadnień. Pierwszy — to literatura. Właśnie „Życie Literackie” zakończyło publikowanie wypowiedzi ankietę zatytułowaną „Wiemat, które czekają”. Obecnie Włodzimierz Maciąg zabiera głos na temat dorobku tej ankiety, zapytując:

CZY BĘDIEMY PISAĆ „NA TEMAT”?

Sam pisarze różnie ustosunkowywali się do tematu jako formy inspiracji twórczej. Maciąg broni w swojej publikacji znaczenia tematu. I nie sposób się z nim nie zgodzić, skoro stwierdza:

„Znaczenie tematów chcieliśmy podkreślić dlatego, że tkwi w nas wszystkich przeświadczenie o jakiejś poważnej skazie literatury współczesnej, pod tym wła-

śnie względem, pod względem ławencji tematycznej. Nie udawajmy, że chodzi już tylko o odkrywczosć językową, o konstrukcyjne pomysły a nawet o świeżość problemów (...) To jest zwykłe zaślania sobie oczu, strusia postawa wynikająca z czysto książkowego, teoretycznego stosunku do literatury. Nie udawajmy, że formuły ogólne, programy, postawy, koncepcje stylu, urodzić się mogą na gładzie nie przeoranej, w rzeczywistości nie spenetrowanej, nie oświetlonej, nie skonfrontowanej z najprostszymi pojęciami rzeczy, spraw i zjawisk, czasem widocznych na pierwszy rzut oka a czasem wymagających przełamania uprzedzeń, kamufłarzy, eufemizmów, wymagających zwykłego ukazania się w rzeczywistym kształcie w rzeczywistej treści. Literatura nasza udaje ciągle, że wie mniej niż wie, tego nie przyjmuje do wiadomości, tamtego nie chce wiać pod uwagę, tego nie chce uwzględnić. Nie twierdzą, że pod tym względem nie ma postępu w literaturze żadnych pozytywnych osiągnięć tu nie ma. Czytelnik staje się coraz bardziej wymagający i pisarz o tym wie, trwa tu jakiś nieprzerwany i rosnący chyb nacisk opinii. Ale do zrobienia pozostało jeszcze bardzo dużo”.

Właśnie w podejmowaniu pisarstwa „na temat”, za którego obiektywną prawdę trzeba przyjąć odpowiedzialność. Maciąg widzi szansę literatury, dającej świadectwo na-

szym czasem, takiej, na którą czeka czytelnik.

W KRĘGU KOREPECYJI

Temat szkolnictwa znowu wraca na łamy, bo przecież niedługo matury, egzaminy wstępne na uczelnie. W związku z tymi ostatnimi Andrzej Chruszczyński zauważa w „Polityce”, że zwłaszcza w tym roku ze szczególną siłą występuje zjawisko udzielania korepetycji dla przygotowania przyszłych maturzystów do egzaminów na wyższe uczelnie. I dzieje się tak chociaż władze szkolne nie są ich zwolennikami. Ale dzieje się tak m. in. dlatego, że żadnego jeszcze roku nie było tak wysokiego procentu — jak ostatnio — kandydatów, którzy nie zostali przyjęci na studia z powodu nie braku miejsca lecz po prostu oblanego egzaminu.

Przyczyną jest m. in. ulgowy system obecnych matur, nie cieszących się autorytetem społecznym. W rezultacie i egzaminator na wyższej uczelni nie ufa nauczycielom-wychowawcom, stawiającym stopień na świadectwach i formułującym opinie w ankietach. Nie ufa i zadaje pytania wykraczające nieraz bardzo daleko poza obowiązujący program. Można w ten sposób — zdaniem autora — odnaleźć uczniów nawet ciekawych, bo dokształ-

conych kursami i korepetycjami. Ale czy o takich tylko chodzi? Zławsza że nie zawsze ten, który wie więcej niż obejmuje program, będzie lepszym studentem, a w przyszłości — fachowcem. Wiele może być jednak bardziej ufać szkole, kładąc przy tym nacisk na podnoszenie w niej poziomu nauczania.

A JEDNAK Z ŁACINĄ

Sporo dyskusji toczyło się ostatnio na temat łaciny w szkole średniej. Spowodowały je zmiany wprowadzone w programach nauczania szkół średnich, w których uznaje się obecnie ten przedmiot jako nadobowiązkowy. O tym, dlaczego tak się dzieje mówi minister oświaty i szkolnictwa wyższego prof. dr Henryk Jabłoński w wywiadzie dla „Kultury”.

Warto przy okazji wspomnieć, że także w krajach zachodnich, gdzie prawie cała młodzież uczyła się łaciny, zauważa się tendencję do zmniejszania zakresu jej nauczania. Podobnie zresztą było i u nas. W liceach łaciny uczyło się ostatnio od 23,3 proc. uczniów w klasach XI do 15,3 proc. w klasach VIII. Dotychczas ten kto chciał się uczyć łaciny musiał jednocześnie rezygnować z nauki jednego języka nowożytnego. Była to konkurencja, której łacina nie wytrzymywała. Teraz ten kto będzie chciał się uczyć łaciny nie musi rezygnować z nauki jednego z języków nowożytnych. Ponadto w niektórych szko-

łach kuratoria będą miały prawo wprowadzić klasy o trzech językach obowiązkowych w tym właśnie łaciny. Według ministra nie chodzi o zmniejszenie liczby liceów nauczających łaciny lecz o zmianę jej statusu w szkole, przy czym uczeń, którego rodzice zgłoszą na nadobowiązkowe nauczanie łaciny będzie zobowiązany uczyć się jej w danym roku na tych samych zasadach co wszystkich innych przedmiotów. Więcej — Ministerstwo chce być przygotowane do uczenia łaciny więcej nawet niż dotychczas uczniów. Ale to już zależy w dużej mierze od rodziców, od samych uczniów, od tego, jak będzie się propagować potrzebę nauczania łaciny.

WSPOMNIENIA BERLINGA

„Kultura”, która w ostatnich tygodniach w każdym wydaniu przynosi si pamiętniki, zaczyna w tym tygodniu druk wspomnień Zygmunta Berlinga — przed wojną podpułkownika dyplomowanego, zwolnionego przed wrześniem 1939 r. z czynnej służby z powodu konfliktu z grupą Rydza Śmigłego, obecnie zaś generała w broni w stanie spoczynku. W pierwszym odcinku autor opisuje wrzesień 1939 r. oczami oficera bezskutecznie szukającego przydziału i wkroczenie Armii Czerwonej do Wilna.

LEKTOR